

Ks. Robert Skrzypczak: Wiara szalonych i pokochanych

Są dwa rodzaje bastionów, przez które musi przejść człowiek, który w głębi serca słyszy Chrystusowe wezwanie: „pójdź za mną”



Wiara szalonych i pokochanych

Wierzyć w Chrystusa nigdy nie było łatwo. Nie sądziłem jednakże, że wizerunek dzisiejszego chrześcijaństwa przejdzie aż tak gwałtowne przeobrażenie z postaci wiary powszechnej i wspólnotowej – cechującej epokę konstantyńską, gdzie wszyscy zgadzali się co do głównych wartości Ewangelii, kto zaś tego nie robił, był uznawany za „odstępcę” lub „odszczępieńca” – w skromną, choć o wiele bardziej angażującą osobiście formę wyraźnie zadeklarowanych uczniów Chrystusa,

będących niejednokrotnie w społeczeństwie coraz to bardziej spoganiałym, jak małe wyspy na oceanie świata. Choć statystyki nadal dumnie prezentują swe nadęte proporcje: ubyło nam tu, ale za to przybyło nam tam, dzisiejsze czasy wcale nie ułatwiają życia naśladowcom św. Franciszka, s. Faustyny czy Jana Pawła II.

Głównymi wrogami wiary w Chrystusa, poza stale obecną w dziejach Kościoła obojętnością religijną czy kompromisami moralnymi, wydają się dziś dwa zjawiska. Są one jak dwa rodzaje bastionów, przez które musi przejść człowiek, który w głębi serca słyszy Chrystusowe wezwanie: „pójdź za mną”. Chrześcijański bieg z przeszkodami zaczyna się od konfrontacji z tzw. nowoczesną mentalnością, będącą niezwykle modną, zwłaszcza wśród zadowolonych z siebie posiadaczy różnego rodzaju dyplomów. W oczach przedstawicieli naukowego, wyzwolonego z zabobonów religijnych, poglądu na życie tłum gromadzący się na „Anioł Pański” z papieżem to „niesmaczny pokaz głupków i dewotów” (Umberto Eco). Mogliśmy sobie zdać sprawę z powagi owego powszechnego uwiedzenia umysłowego, gdy papież Benedykt XVI został zniechęcony do przyjazdu na rzymski uniwersytet La Sapienza na początku roku. Jakby głowa katolików nagle została obłożona anatemą przez wyznawców nowej religii i wyklęta przez nowy anty-Kościół. W rankingach poczytności triumf odnoszą apostołowie nowoczesnego, racjonalnego ateizmu: Richard Dawkins czy Christopher Hitchens, w zgodzie z którymi Kościół katolicki poprzez swój sprzeciw na polu biotechnologii, swobodnej etyki seksualnej czy w kwestii utrzymywania „prymatu prawdy” w swej istocie jest źródłem przemocy: nie chcesz wojen, trzymaj się jak najdalej od religii! W tym sensie angielski filozof Roger Scruton mówi o „karłowatości laicystów”, którzy przerażeni radykalnym islamem i bojący się z nim zadrzeć, swą złość przekierowują na chrześcijan. „Kościół jest dobry jedynie w paleniu na stosie Giordano Bruno” – powtarzają w kółko tamci,

przekonani, że z chrześcijańską wiarą należy walczyć, wymachując, jak się da, maczugą cynizmu, obelg i ironii. Zastanawiał się też niedawno jeden z dziennikarzy włoskich (Michele Brombille, Il Giornale), dlaczego Joseph Ratzinger w pewnych kręgach jest tak znienawidzony. Oskarżenia o ingerowanie w politykę czy stanowisko w sprawie seksualności to tylko pretekst. Istotą sprawy jest to, co nieustannie powraca na usta Papieża: życie ludzkie ma swój sens, nie jesteśmy dziećmi Przypadku, ale planu Miłości! Tylko on jeden na całym świecie, nie wierzącym już w nic, powtarza nieugięcie, że Prawda istnieje. Kultura, która zmusza rozum do bycia głuchym na przesłanie Chrystusa, prowadzi ludzi do życia bez korzeni, bez źródeł, w nihilistycznej próżni. Lecz co zrobić, jeśli terapia próżniowa staje się modna?

Kiedy człowiek chcący wierzyć Chrystusowi mimo wszystko przejdzie próbę „nowoczesnego światopoglądu”, będzie musiał stawić czoła innej przeszkodzie. Tę próbę nazwałbym „testem wiarygodności”, pokusą szelmowskiego „mruknięcia okiem” bądź barierą niedowiarstwa. Świat, który otwiera się przed człowiekiem wprowadzonym w Kościół to świat świętych, barokowych organów, średniowiecznych soborów, kadzideł i długich zakonnych habitów. Ktoś wyjałowiony do cna moralną dietą talk show’ów i big brotherów może odnaleźć się świetnie w zaciszu gotyckiej katedry, niemniej kolejna pułapka czyha na kandydata na ucznia Chrystusa w postaci pytania: czy to dziś jeszcze stosuje się do życia? nie mam do czynienia z „nocą otwartych muzeów”? nie alienują mnie te wszystkie dzwonki i symbole w świat złudny i nierealny? Jak się poczujesz, drogi katoliku, kiedy inni zaczną na ciebie spoglądać, jak na kogoś kogo wydobyto z sarkofagu? Twoje nabożeństwa piękne, ale trochę przeterminowane, twoje modlitwy – terapia tchórzów, twoje poglądy – jakby nadgryzione pleśnią. Iść za Chrystusem to iść pod prąd. Kto powiedział, że Ewangelia jest nieaktualna? Że kochać drugiego na

całe życie to skansen, że rodzić dzieci to „taliban”, być wolnym od dominacji pieniądza i mody to trochę jak jazda po linie na jarmarku. Jasne, opowiedzenie się za Chrystusem kosztuje: czasem uśmieszek politowania czy wzruszenie ramionami. Głoszenie Ewangelii niekiedy przypomina zabiegi cyrkowego kłowna, który pewnego razu przybiegł, by przestrzec ludzi przed pożarem, jaki wybuchł w jego cyrku. Wysiłki artysty z dzwoneczkami nie tylko, że nie przyniosły żadnego skutku, ale wręcz zostały uznane za nowy, oryginalny skecz. Nikt sobie nie wziął do serca przesłania przejętego do głębi człowieka – przecież to kłown. W efekcie cyrk spłonął, a wraz z nim domostwa głupich ludzi, bowiem wiatr z czasem zaprószył ogień na okoliczne zabudowania. Ktoś powiedział, że w życiu, jeśli nie chcesz płakać, musisz poszukać dobrej komedii. Życie to zabawa. Niech ci ponuracy biorą się z życiem za bary sami, my chcemy się śmiać.

Czyżby panaceum na nieudane życie miał być program rozrywkowy albo porządny sen? W świecie, w którym nikt nie ceni sobie prawdy, istotne staje się dobre trawienie i środki nasenne. Bóg wymaga zbyt wielkiego zaangażowania, Ewangelia wzywa do nawrócenia, Dekalog jest zbyt kategoryczny, Kościół zanadto staroświecki. Najlepiej przestać się tym wszystkim przejmować. Zafundujmy sobie przyjemną, odprężającą ateistyczną drzemkę. Człowiek jest w trakcie wyzwiania się ze schematów przeszłości, dlatego też opuszcza kościoły i klasztory, wybierając dla siebie i swych dzieci wygodny, nowoczesny i zabezpieczony finansowo model życia. Nawet jeśli mamy dziś do czynienia z oznakami powrotu religijności, jest ona mało przekonująca. Słynny włoski filozof Emanuele Severino twierdzi zresztą, że tzw. pokolenie Jana Pawła II czy ruchy odnowy w Kościele są oznakami przedśmiertnych konwulsji chrześcijaństwa. Umierającemu przed zgonem zazwyczaj się robi na chwilę lepiej. Jednakże tradycyjny model

życia ustąpi w świadomości ludzi miejsca paradygmatom naukowo-technicznej nowoczesności, dającej im o wiele bardziej optymistyczną perspektywę.

Skąd zatem bierze się niewyobrażalna epidemia gniewu, narkotyku czy depresji ogarniająca społeczeństwa zasobne? Prawdziwym problemem okazuje się nie tyle kryzys człowieka, co „kryzys Boga”. Wiele osób żyje dziś według sloganu: „Boga nie ma, a jeśli nawet jest, to i tak nieważne”. Jest to niewątpliwy skutek formuły wyrażonej przed stu laty przez Friedricha Nietzschego: „Bóg umarł... i myśmy Go zabili”. Okazuje się, że wszystko zmienia się w zależności od tego, czy Bóg jest czy nie. Już pod koniec XVIII wieku pewien niemiecki poeta, Jean Paul Richter, opisał ten stan następująco: „Pewnego letniego wieczoru leżałem na jednym z pagórków twarzą do słońca, gdy ogarnął mnie sen. Śniło mi się, że przebudziłem się w krainie umarłych. Cienie zgromadziły się wokół ołtarza i wszystkim, zamiast serca, pulsowały klatki piersiowe. Nagle spadła na ołtarz wzniosła postać, w której dostrzec można było nieskończony ból. I wszyscy umarli poczęli wołać: «Chryste, Chryste, czy Bóg istnieje?» Cieniem każdego z umarłych wstrząsały drgawki i z powodu tego drżenia wszyscy jeden od drugiego trzymali się na odległość. Chrystus powiedział: «Przemierzyłem góry, wstąpiłem na słońca i drogi mleczne, obszedłem pustynie niebieskie, lecz nie ma żadnego Boga. Zstąpiłem w otchłanie, zbadałem czeluście i wołałem: Ojcze, gdzie jesteś? Lecz słyszałem jedynie wiekuiącą nawałnicę, której nikt nie ujarzmił oraz połyskującą tęczę istnień tam u spodu, której żadne słońce nie tworzy... wszystko, wszystko zionęło wielką pustką ». Zmarłe dzieci, które ocknęły się na cmentarzu rzucały się ku wzniosłej postaci na ołtarzu, krzycząc: «Jezu, nie mamy ojca?» A on, wybuchając płaczem, odpowiadał: «Wszyscy jesteście sierotami, i ja i wy. Nie mamy żadnego ojca». Całość stała się nieznośna, ponura i

przygnębiająca. Niezwykle wielki batalion gotował się do ostatecznej rozprawy, by zdruzgotać wszechświat, gdy się ocknąłem. Moja dusza płakała z radości, że wciąż mogę adorować Boga”.

Ks. Robert Skrzypczak



**TEKST STANOWI WSTĘP DO KSIĄŻKI "NIE UMRZEĆ ZA ŻYCIA",
KTÓRA UKAZAŁA SIĘ NAKŁADEM WYDAWNICTWA WAM**